łomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 16—31.III.1987

6

ot. Zdzisław Nowak

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Gwidon Miklaszewski

● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ●

NAJDŁUŻSZĄ magistralą świata jest transsyberyjska linia kolejowa łącząca Bałtyk z Oceanem Spokojnym. We Władywostoku znajduje się ostatni kamień kilometrowy z liczbą 9323.

●

W WIELU republikach Związku Radzieckiego obowiązuje „Kodeks leśny", w myśl którego w pobliżu dużych miast wyznacza się strefy wypoczynku dla lasu i okresowo zabrania się wchodzić tam turystom.

●

OBSZAR ZSRR zamieszkuje 275 mln osób, które mówią 160 językami. Gdyby nie znajomość powszechnie obowiązującego w Związku Radzieckim języka rosyjskiego, to trudno byłoby ludziom porozumiewać się.

W szkołach dzieci uczą się języka swego narodu i języka rosyjskiego.

Często w jednej republice ludność mówi kilkoma językami. Np. w Gruzji zajęcia szkolne prowadzone są w siedmiu językach, w Uzbekistanie — w dwunastu, a w Rosyjskiej Republice aż w 51.

●

W ZWIĄZKU RADZIECKIM jest 240 miast i 3880 osiedli typu miejskiego. Mieszka w nich 64 procent ogółu obywateli Kraju Rad.

16 miast ma ponad milion mieszkańców. Są to: Moskwa (8 mln mieszkańców), Leningrad, Kijów, Taszkient, Baku, Gorkij, Dniepropawłowsk, Kujbyszew, Odessa, Nowosybirsk, Mińsk, Omsk, Charków, Swierdłowsk, Tbilisi, Czelabińsk.

Uzbecka Socjalistyczna Republika Radziecka leży w Azji Środkowej. Zajmuje powierzchnię 400,4 tys. km kwadratowych, zamieszkuje ją 9 mln osób. Stolicą jest dwumilionowy Taszkient. Do większych i bardziej znanych miast należą: Samarkanda, Buchara, Andiżan, Margelan, Nawoi oraz Nukus.

Uzbekistan zaopatruje wszystkie republiki Kraju Rad w maszyny do uprawy, zbioru i przerobu bawełny. Produkuje potężne koparki, urządzenia do pogłębiania kanałów. Rozwinięty tu jest przemysł półprzewodników, urządzeń elektrotechnicznych, chemiczny i petrochemiczny.

Ziemia Uzbeków kryje w swoim wnętrzu wiele bogactw kopalnych. Najważniejsze znaczenie ma eksploatacja gazu ziemnego, oraz węgla kamiennego i brunatnego. Ponadto wydobywa się tu rudy miedzi, cynku, ołowiu, molibdenu, wolframu, a także siarkę i złoto. Znaczna część wytwarzanej energii elektrycznej pochodzi z siłowni wodnych zbudowanych na dużych rzekach tego kraju: Syr-darii, Amu-darii, Zerawszanu, Czircziku.

Uzbekistan — to kraina białego złota — bawełny. Stąd pochodzi 2/3 zbiorów całego Związku Radzieckiego. Pod względem produkcji bawełny Uzbekistan zajmuje drugie miejsce na świecie.

Nasza okładka:

Chamit Samatow z wnukiem, bohater „Ballady o niezwyczajnym żołnierzu" (str. 12—15).

* * *

Drży ciało moje
Jak zmarszczki na jeziorze.
Leżę.
Ostrożnie przykładam
Gwiazdy jak okruchy lodu
Do czoła.

Cicho.
Jedynie serce,
Jak psotnik nieustannie
Ciska w to jezioro kamyki.

Muchammad Solich
Przełożył Florian Nieuważny
Rys. Teresa Jaskierny

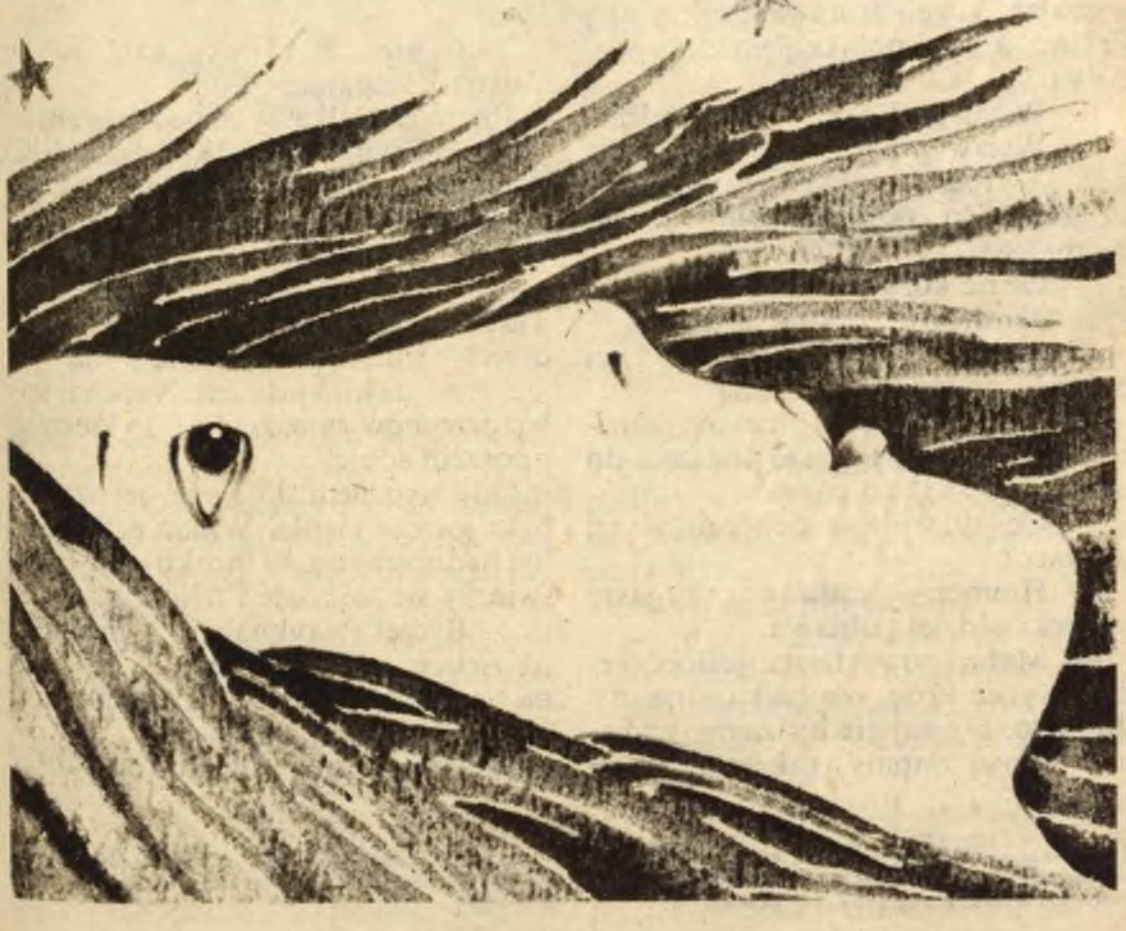

ECZKEMAR

Do tej pory dźwięczą mi w uszach przestrogi mojej matki, codziennie odprowadzającej mnie i kozę.

— Akimie, jeżeli i dziś koza przyjdzie z pustym wymieniem, oberwiesz jak należy. Czyż tak trudno przyłapać tego eczkemara*? Dosyć wysysania mleka.

— Niechby już zdechła ta wasza koza — wykrzykiwałem ze złością, rozmazując łzy po policzkach.

— Nie płacz — mówiła mama i dawała mi do ręki węzełek, w którym była bułeczka z kukurydzy.

Wołałem Erkine i we dwóch ciągnęliśmy na sznurku kozę, żeby wyszła na drogę, a ona zaparła się czterema kopytami i tylko czekała na okazję, aby wziąć mnie na rogi.

Wydostawszy się jakoś za płot, przywiązałem kozę i zostawiłem przy niej Erkine, a sam pomknąłem do sąsiadów (...)

— Wstawaj, Ergasze! — wołałem.

— Wstawaj, wstawaj... Nie dajecie mi się wyspać! — Na progu zjawił się Ergasze. Zmarszczył czoło i przeciągnął się.

— Gdzie koza? — zapytał.

— Na drodze. Erkine ją trzyma.

Ergasze chrupiąc kawałek czerstwej bułeczki powlókł się za mną.

Koza, zobaczywszy Ergasze, obróciła się do niego. Ergasze podszedł do niej i pogłaskał po głowie.

— Co ty widzisz dobrego w tej pokrace?

— Hmmm — blada twarz Ergasze jeszcze bardziej pobladła.

— Mama powiedziała: jeśli eczkemar wyssie kozę, nie czeka mnie nic dobrego. Dzisiaj nie będziemy się bawić. Lepiej złapmy eczkemara, wsadzimy mu kij w paszczę. Za to na wieczór będzie kasza na mleku — oznajmiłem.

— Hmmm — znowu mruknął Ergasze.

— Co tak mruczysz?

— A jaki to eczkemar?

— Ten, co kozę ssie. Cztery nogi, morda jak u żmii.

Powoli doszliśmy do pastwiska.

Kiszłak** rozciągał się na wzgórzu. W dole leniwie płynęła rzeczka, jej brzegi były gęsto zarośnięte sitowiem. Tam pasło się bydło (...)

— Idziemy — ponaglił mnie Ergasze i, kręcąc głową na cienkiej szyi, ruszył w drogę.

Wziąłem za rękę Erkine i poszedłem za nim. Weszliśmy na wzgórze i zatrzymaliśmy się koło parkanu, za którym rosło rozłożyste drzewo orzechowe. Rzucaliśmy w nie kamieniami i nazbierawszy orzechów poszliśmy na łąkę.

Tam już zebrała się cała nasza sławna kompania.

Rozbiłem kilka orzechów, dałem je małemu Erkine, żeby nie przeszkadzał, a sam zabrałem się do zabawy. Oprzytomniałem dopiero wtedy, kiedy przegrałem prawie wszystkie orzechy.

— A gdzie Ergasze? — spytałem Tursunalego, który też przegrał swoje orzechy i siedział z kwaśną miną.

— Niedawno odszedł. Napchał sobie orzechów za pazuchę i do kieszeni i poszedł sobie...

Gdy wróciłem do kozy, jej wymię było jeszcze ciepłe. Widać eczkemar był tu dopiero co. W mroku oczy kozy świeciły się złośliwie i triumfująco.

— Bydlę! — ryknąłem i cisnąłem na ziemię ostatnie orzechy. — Dałaś mi się dobrze we znaki! Każdego dnia mam awanturę przez ciebie!

Wrzeszczałem, waliłem kozę kuła-

---

* Eczkemar — uzbeckie, bajeczne zwierzę czteronożne podobne do barana z pyskiem żmii. Według wierzeń ludowych wysysa mleko krów, kóz i owiec.

** Kiszłak — osiedle wiejskie w Azji Środkowej, głównie w Uzbekistanie, Tadżykistanie, Turkmenii oraz w Kirgizji.

Rys. Teresa Jaskierny

kami i nawet ugryzłem ją w ucho. Erkine stał obok płacząc.

Kiedy dowlekliśmy się do domu, wepchnąłem Erkine z kozą na podwórko, a sam przylgnąłem do dziury we wrotach.

— Mamo — eczkemar znowu wyssał kozę! — cienkim głosikiem biadolił braciszek.

— Co!? — Mama podeszła do kozy i pomacała wymię. — A gdzie twój brat?

— Został na drodze.

— Akim! Akim! Wszystko jedno, znajdę cię nawet u Ergasze...

Właśnie zamierzałem schronić się u babci Ibo, ale matka od razu domyśliła się tego. Więc udając, że się niczego nie boję, wszedłem na podwórko.

— Co ci mówiłam rano?

— Mamusiu, ja więcej nie będę...

— Niech cię licho porwie. Cały dzień czekałam, myślałam, że w końcu zjemy kaszy. A on znowu poszedł na orzechy.

Mama gwałtownie odwróciła się i weszła do domu. Płakała. Płakała pierwszy raz od odjazdu ojca na front. Jej łzy zabolały mnie. (...) I ja też

rozpłakałem się. Do tej pory nie mogę zapomnieć jej drżącego głosu.

— Mamusiu, nie trzeba. Przebacz — powiedziałem podchodząc do niej

Jeszcze załkała, przyciągnęła mnie do siebie i pocałowała.

Rankiem następnego dnia matka chwiejąc się jak po długiej chorobie, poszła w pole. O kozie nie wspomniała. To wstrząsnęło mną. Zaprzysiągłem sobie, że nie przegapię eczkemara. I nie zawołałem Ergasze. Przechadzałem się jak wartownik z kijem w ręku. Oto podpełznie eczkemar, rzucę się na niego i skręcę mu kark. Erkine, jak zwykle zdrzemnął się obok, słońce przypiekało, sitowie chwiało się i szumiało na wietrze. W oddali widniały sylwetki kobiet koszących sezam***.

Około obiadu koza zaczęła niepokoić się. Zaprowadziłem ją do wody, ale nie piła. Oczy jej nabiegły krwią. Becząc żałośnie patrzyła w stronę ścieżki. Widocznie boi się. Widocznie eczkemar blisko. Nastroszyła się jak kotka polująca na ptaszki. I nagle na ścieżce zjawił się Ergasze. O, nastraszę go. Wyskoczę niespodziewanie i ryknę. Ale „brzuchaty" podszedł do kozy pogłaskał ją, przytulił twarz do jej mordy, zamknął oczy.

Interesujące. Koza stała jak zamarła.

Potem Ergasze obejrzał się. Podszedł z boku, położył się i zaczął ssać mleko jak koziołek. Dopiero teraz wszystko zrozumiałem.

— Świnia! Eczkemar! — Odciągnąłem go za nogi od kozy i zacząłem bić, gdzie popadło.

— Okazuje się, że to ty!

— Akim, nie bij!

Nagle poczułem silne uderzenie z tyłu i przeleciałem przez niego na drugą stronę. Koza pochyliwszy łeb; fukając i rozdymając nozdrza, groźnie patrzyła na mnie. Ergasze kulejąc rzucił się do ucieczki.

— Ty podła, jeszcze go bronisz.

Podniosłem kij i zamierzyłem się. I nagle ręce mi opadły. Oczy kozy były pełne łez. Okazuje się, że i ona może płakać. Zadrżałem z żalu, objąłem jej głowę i pogłaskałem. Lecz ona ciągle patrzyła w dal na ścieżkę.

Wieczorem przyprowadziłem kozę do domu poklepując ją po grzbiecie.

— No! — mama nachyliła się i jak zwykle pomacała wymię kozy. — Na koniec nabrałeś rozumu, synku. Zjemy chociaż kaszę. Eczkemara nie widziałeś? Dlaczego jesteś taki smutny?

— Mamo. To Ergasze...

— Co? — Oczy mamy zrobiły się okrągłe.

— Kiedy go biłem, koza mnie ubodła.

Matka spuściła głowę. — Boże mój, co to się dzieje z ludźmi! — wyszeptała zdławionym głosem.

Gotując kaszę spoglądała to na mnie, to na kozę, jak gdyby chciała coś powiedzieć, ale nie mogła.

Rano wychodząc w pole powiedziała z trudem drżącym głosem:

— Akim, przywiąż kozę w sitowiu i możesz grać w orzechy.

Potem grałem w orzechy każdego dnia. Wymię kozy zawsze było pełne mleka. Ona żałośnie beczała. Ergasze jak w wodę wpadł.

— Mówią, że biedaczek ciężko chory. Leży w łóżku — wyjaśniła mi mama pewnego razu. — Daj Boże, żeby wyzdrowiał.

Jakby mnie kto nakrył z głową watowanym szlafrokiem. Wybiegłem na drogę. Leciałem szepcząc:

— Ergasze, wróć! Ergasze, nie trzeba. Jeżeli chcesz, weź sobie na zawsze tę kozę — mamrotałem całą drogę do ich domu. Zdawało mi się, że ze wszystkich stron rozlega się jego odpowiedź:

— Akim! Nie bij!

Utkam Chakimaliew
Przełożył Bohdan Gębarski

*** Sezam — roślina uprawiana dla produkcji oleju.

TAM, GDZIE URODZIŁ SIĘ WESOŁY KPIARZ HODŻA NASREDDIN

Tam, czyli w Bucharze, czyli w Uzbekistanie, przypuszczalnie w roku 1208...

Znają Hodżę i kochają narody Bliskiego i Środkowego Wschodu. Bo właśnie stamtąd ze Środkowej Azji pochodzi.

Kochają go również i dzieci polskie. A to dzięki panu Zdzisławowi Nowakowi. Napisał On już osiem książek, w których żyje, śmieje się, przeżywa rozmaite przygody wesoły mędrzec ludowy Hodża Nasreddin.

Odwiedził już pan Nowak wszystkie kraje, przez które wędrował Nasreddin. A zaprzyjaźnił się zwłaszcza z Uzbekistanem. Pytam więc autora:

— Czy zechce nas Pan oprowadzić po tej republice słońca i bawełny?

— Chętnie — mówi pisarz — oprowadzę Czytelników „Płomyczka" po tej ziemi pełnej wspaniałych pisarzy, wśród których znam osobiście i szczególnie lubię poetów: Zulfiję, Aripowa, Narzułłajewa i prozaików: Fajziego, Jakubowa, Pułatowa, Umarbekowa i Mirmuchsina. Ale nie mówmy — proszę — o Nasreddinie, że kiedyś tam, w XIII wieku żył. Bo on nadal żyje. Ludzie go kochają, powtarzają jego anegdoty i opowieści. Wierzyli i nadal wierzą, w jego przygody na froncie podczas ostatniej wojny. I ja również nie rozstaję się nigdy z Nasreddinem. Zawsze coś o nim piszę.

Tadeusz Chudy

P.S. 1) Wiersze publikowane w tym numerze „Płomyczka" zawdzięczamy doc. dr Florianowi Nieuważnemu.

2) Wkrótce rozpoczniemy druk niektórych opowieści-zagadek Hodży Nasreddina.

Buchara — stolica dawnego emiratu, rządzonego przed laty przez okrutnych władców. To gdzieś tutaj przyszedł na świat wesoły mędrzec, legendarny Hodża Nasreddin.

Fot. Zdzisław Nowak

KOMU MOŻNA POWIERZYĆ TAJEMNICĘ?

Chudojar-chan popatrzył z wysokości marmurowego tronu na ciżbę dostojników państwowych, kłębiącą się w dole. Wielmożowie przybyli na rozkaz do pałacu znieruchomieli. W skupieniu i w trwodze oczekiwali na słowa władcy, które znacznie częściej zwiastowały nieszczęście niż coś przyjemnego.

— Wezwałem was, ministrowie i doradcy moi — przemówił chan Kokandu — aby zadać wam pytanie gnębiące mnie od wczoraj. Kto z was odpowie na nie trafnie, ten otrzyma bezzwłocznie nagrodę. Zacną nagrodę. Ale i odpowiedź musi być mądra, przekonywająca. Barany są dobre w stadzie owiec na stepie, lecz nie w moim pałacu. A teraz przetrzyjcie dokładnie uszy i słuchajcie uważnie. Pytam: komu można najbezpieczniej powierzyć bardzo ważną tajemnicę?

Chyba z minutę dzwoniła w powietrzu przejmująca cisza. Dopiero potem w kierunku tronu runęła gigantyczna lawina odpowiedzi. Przedziwnych. Karkołomnych. Cudacznych.

Główny koniuszy wymachiwał energicznie rękami i wrzeszczał z całej siły, chcąc zagłuszyć innych:

— Panie sprawiedliwy, najlepiej powierzyć ją mojemu wujowi. Starzec stuletni ma wielką sklerozę. Przeogromną. Tak, że niczego nie jest w stanie zapamiętać. Po pięciu minutach pod jego czaszką nie pozostanie nawet ślad po tajemnicy. Choćby najważniejszej.

Nadworny bibliotekarz podskakując na palcach darł się wniebogłosy:

— Najbezpieczniej powierzyć ją mojemu dziadowi. Przed siedmioma laty staruch wpadł w ręce szajki grasującej w Kara-kumach. Po ograbieniu biedaka do ostatniej nitki wódz koczowniczego plemienia kazał wyrwać mu język, aby nie zdradził jednej z rozbójniczych kryjówek. Od tamtej chwili, nawet gdyby chciał, nikomu nie zdoła wyjawić żadnej tajemnicy. Każde słowo wrzucone w ucho mojego dziada jest jak kamień ciśnięty do głębokiej studni.

Wielki mirab, urzędnik państwowy zarządzający podziałem wody w całym chanacie, wykrzykiwał piskliwie:

— Nie zwracaj uwagi, panie sprawiedliwy, na bełkot bezmyślny koniuszego i bibliotekarza. Tajemnicę najlepiej powierzyć mojej babce. Jest głucha niczym pień zmurszałej wierzby. Nie tylko nic nie zapamięta, ona nawet nie zdoła dosłyszeć powierzanej tajemnicy. Jakże więc mogłaby ją potem ujawnić komukolwiek z ciekawskich?

Główny łowczy, zaciskając palcami dziób tresowanego orła, by mu nie przeszkadzał, wołał donośnie:

— Panie sprawiedliwy, zapewniam, iż najbezpieczniej jest powierzyć ją mojej Labibi, mojej siedmiomiesięcznej wnuczce. Maleństwo jeszcze nie rozumie, co się do niej mówi. A zatem bez obawy można jej powierzyć ważną tajemnicę państwową. Przysięgam na brodę Allacha, że później Labiba nikomu nie potrafi ujawnić sekretu.

Niestety, żadna z siedemdziesięciu wrzaskliwych odpowiedzi nie przypadła Chudojar-chanowi do przekonania. Za każdym razem marszczył brwi i wydymał pogardliwie wargi. I kręcił przy tym przecząco głową.

W pewnej chwili wzrok władcy zatrzymał się na skromnej sylwetce Hodży Nasreddina. Bucharskiego mędrca, którego naczelnik strażników na wszelki wypadek również kazał sprowadzić do komnaty tronowej.

— A ty, doświadczony lekarzu

z Buchary — zwrócił się Chudojar-chan do Hodży — czemu sterczysz pod ścianą i milczysz jak karp w wodzie? Czyżbyś nie znał rozsądnej odpowiedzi na pytanie zadane tutaj wielmożom? Przyznaję, wyżej ceniłem cię od tych złoconych półgłówków. A jednak i tobie zabrakło tym razem konceptu. A może woskowina zapchała ci uszy?

— Mylisz się, panie sprawiedliwy — zaprotestował mędrzec. — Nie chcę ujawniać zbyt wcześnie prawidłowej odpowiedzi, abyś miał okazję wysłuchać swoich wiernych dostojników do końca.I mógł zorientować się, co naprawdę są warci. Z tego, co tu słyszę, nietrudno wywnioskować, iż Allach dysponował niewielkimi resztkami oleju, kiedy napełniał im czaszki.

— Nie mędrkuj bez potrzeby, lekarzu bucharski. Nie chodzi mi teraz o twoje opinie o wielmożach — warknął niecierpliwie chan. — A może, sprytny lisie, wykręcasz się od odpowiedzi? O, to ci się nie uda.

— Mówiłem już, panie, że znam rozwiązanie zagadki — odparł mędrzec nie ruszając się spod ściany. — Rozwiązanie znacznie lepsze od niemowląt w pieluchach, dziadów bez języka, wujów z zanikiem pamięci czy na wpół głuchych babek. Po cóż zatem miałbym się wykręcać?

Chudojar-chan spojrzał Hodży w oczy i wycedził:

— W dzbanku mojej cierpliwości urwało się ucho. Po raz ostatni pytam cię, lekarzu przybyły z Buchary, komu najlepiej jest powierzyć ważną tajemnicę?

Hodża Nasreddin odczekał moment, aż wszyscy zamilkną, i wtedy dopiero rzekł:

— Pierwszemu ministrowi, wielmożnemu kuszbedze Kokandu, czyli Aszurbekowi.

Chan ze zdziwienia omal nie zleciał z tronu.

— Aszurbekowi? — wyjąkał. — Nie pojmuję? Mów jaśniej.

— To proste. Wielki wezyr Aszurbek wśród wszystkich bez wyjątku Kokandczyków uchodzi od dawna za największego kłamczucha i łgarza w całym państwie. A więc, jeśli nawet któregoś dnia zaswędzi go jęzor i wypaple tajemnicę, to i tak nikt mu nie uwierzy.

Zdzisław Nowak

Rys. Jerzy Flisak

KILKA ŻYCIORYSÓW W JEDNYM

Biografia Zdzisława Nowaka — jak sam kiedyś powiedział — mogłaby pomieścić kilka życiorysów. Bo to i związane ze wschodnimi zainteresowaniami, ciekawe orientalne podróże i ponad 35-letnia różnorodna działalność dziennikarska („Na Przełaj", „Sztandar Młodych", „Płomyk", „ITD", czy „Trybuna Ludu"), to wreszcie bogaty dorobek literacki zdradzający m.in. pasje miłośnika i popularyzatora rodzimej tradycji ludowej. Opowieści o Hodży Nasreddinie wcale nie są bowiem jedynym literackim tematem, któremu Wasz Autor od wielu lat poświęca swą wiedzę, serce i dużo swojego czasu. Zresztą czasu zwykle nie liczy się, gdy można robić to, co się lubi. A nastrój i klimat utworów Nowaka zdaje się potwierdzać autorską satysfakcję z podejmowanych tematów.

W „Płomyczku" mieliście już wielokrotnie okazję czytać legendy, którym literacki kształt nadał właśnie Zdzisław Nowak. Już niedługo ukażą się w sprzedaży dwie księgi: Zbiór legend kurpiowskich: „Jak Boruta zakochał się w karczmarzowej córce" oraz powieść historyczna „Jak Bartek Bartnik za zbójami po Żagajnicy gonił". Oba utwory ukażą się staraniem „Naszej Księgarni". To samo wydawnictwo przygotowuje do druku także inny zbiór legend i baśni polskich tego Autora. Będzie on nosił tytuł „Diabelski strzelec".

W ubiegłym roku za całokształt twórczości artystycznej dla dzieci i młodzieży Zdzisław Nowak otrzymał Nagrodę Prezesa Rady Ministrów.

Również Stowarzyszenie Dziennikarzy PRL uhonorowało go w 1984 r., przyznaną wtedy po raz pierwszy, Nagrodą im. Kornela Makuszyńskiego.

Elżbieta Brzoza

Tako mawiał HODŻA NASREDDIN

Każdy jest mędrcem w cudzej sprawie.

Prawdziwy mężczyzna leje łzy rzadko albo wcale.

Człowiek wesoły podobny jest do słońca, albowiem rozjaśnia miejsce, w którym się znajduje.

Dobre wieści skrzydeł nie potrzebują. Lecą szybciej od najśmiglejszego sokoła.

Na cudzych skrzydłach latać się nie da.

Księżyc pożyteczny jest w nocy, słońce w dzień, a rozum o każdej godzinie.

Zemsta najczęściej bywa i głucha na obydwoje uszu, i ślepa na obydwoje oczu. Niedowidząc i niedosłysząc wymachuje mieczem i nieraz sama sobie ogon przycina.

Z każdego naczynia to się sączy, co w nim jest

Dzieje każdego ze stąpających po tej ziemi utkane są z czterdziestu tysięcy kłopotów i utrapień. Dorzucenie do tysięcy jeszcze jednego nie uczyni chyba nikomu tak wielkiej różnicy.

(z książki *„Zagadkowa ucieczka Hodży Nasreddina"* Zdzisław Nowak

Rys. Jerzy Flisak

BALLADA O NIEZWYCZAJNYM ŻOŁNIERZU

Kto wie, gdzie leży Kattakurgan? Na drugim krańcu świata. 5 tysięcy kilometrów od Warszawy. Jak więc tam się dostać? Tak oto.

Z Warszawy poleciałem samolotem odrzutowym Ił-162 do Moskwy. Z lotniska, na którym wylądowaliśmy, odebrała mnie Tamara Timoszina, koleżanka z zaprzyjaźnionej redakcji i taksówką pojechaliśmy na drugie lotnisko, skąd jeszcze większym odrzutowcem — mieszczącym 350 pasażerów — polecieliśmy do Taszkientu, stolicy Uzbekistanu, azjatyckiej republiki Kraju Rad. Kolejnym samolotem, ale już nie takim dużym, przefrunęliśmy nad stepami do Samarkandy i można by powiedzieć, że prawie dotarliśmy na miejsce. To „prawie" liczyło sobie około 100 kilometrów. Ba, ale czym je pokonać?

Na szczęście Tamareczka jest dziewczyną zaradną. Po godzinie pędziliśmy już „Moskwiczem" (należącym do wydziału oświaty w Samarkandzie) okazałą asfaltową szosą przecinającą piaski pustynne w kierunku Kattakurganu.

*

Gościmy w nowiutkim domu Chamita Samatowa. Jasnym i przestronnym, wystawionym tuż na skraju grodu. Zaledwie kilkadziesiąt kroków za furtą zaczyna się pustynia Kyzył-kum, skąd płynie powietrze gorące jak piekło, ale czyste i suche, pozwalające oddychać pełną piersią. Rozsiedliśmy się wygodnie na tarasie dla gości, ocienionym daszkiem werandy na kilku drewnianych kolumnach rzeźbionych na uzbecką modłę. Przed nami ogród z młodymi, lecz już owocującymi drzewami, także z krzewami róż i granatów, z łozami winogron.

Przyjęcie przygotował gospodarz, właśnie Chamit Samatow, mający do pomocy najlepszych kucharzy w rodzie.

— A jak będziemy siedzieć? Po europejsku czy po uzbacku? — pyta Samatow i patrzy na mnie.

— W uzbeckim domu najlepiej po uzbecku — odpowiadam.

— A to bardzo dobrze — wzdycha pan domu z wyraźną ulgą. — Siedemdziąsiątka wwaliła mi się na kark i na krześle długo nie wysiedzę. Niewygodnie. Nogi drętwieją. Najlepiej o tak, na dywanie z podwiniętymi nogami.

Stół, a ściślej środek podłogi zastawiony, „czym chata uzbecka bogata". Na obrusie rozpostartym wprost na prześlicznym grubym kobiercu znalazła się więc i parująca smakowicie szurpa — ostra zupa z kluskami, cieniutkimi, koniecznie własnej roboty, i pierożki manty w śmietanie, i ryż z baraniną i korzeniami. I świeżutkie, jeszcze ciepłe placuszki. I kattakurgańska chałwa z miodem i orzechami. I owoce: winogrona, melony, arbuzy, suszony kiszmisz z granatowych winogron, a również prażone wraz z solą pesteczki moreli, samarkandzka specjalność.

Do Kattakurganu przyjechaliśmy z Tamarą, ażeby poznać bliżej dzieje niezwyczajnego żołnierza lat wojny, aby posłuchać jego wspomnień...

Wojna. Straszny czas dla ludzi. Okrutny dla wszystkiego, co żywe. Wojna z Hitlerem nie ominęła i rodzinnej lepianki Chamita Samatowa. Pierwszy wyruszył na front najstarszy z braci — Azimdżan z obsługi karabinów maszynowych. Wkrótce po nim opuścili dom rodzinny dwaj pozostali, radiotelegrafista Chamit i najmłodszy Rabidżan, artylerzysta z przeciwlotniczej.

Razem bronili Moskwy, forsowali Don, wyzwalali Rostów. Pod Woroszyłowgradem wojna rozdzieliła braci. Potem było piekło bitwy pod Stalingradem. Pod Izjumem mianowano Samatowa dowódcą plutonu, a po bitwie odznaczono medalem „Za Odwagę". Później brał Zaporoże, gdzie otrzymał order. I tak dotarł aż do brzegów Dniepru.

Ech, a ilu okrucieństwom wojny się wtenczas napatrzył. Opowiedzieć się nie da. Słów mało...

Jednego nie wiedział, choć to dziś może i dziwne. Nie wiedział dokładnie, kiedy przyszedł na świat. Dawniej wśród biedaków do daty urodzin wagi nie przywiązywano, bo i po co? Zatem i on żył w słonecznym Uzbekistanie, pracował uczciwie i nie zastanawiał się nad tym, ile lat już przeminęło, a ile mu jeszcze pozostało. Bo cóż to takiego te daty? Zwyczajne cyferki w kalendarzu. Nie dla tego człowiek żyje na tym świecie, ażeby dni liczyć. Żyć trzeba, by wśród ludzi dobrą pamięć o sobie pozostawić. A czy to mało?

Jedną datę wszakże zapamiętał.

— Osiemnastego listopada urodziłem się — powiada Chamit Samatow i poważnieje. —

Rys. Zbigniew Rychlicki

Oto dzień moich prawdziwych narodzin. Tego dnia umarłem i tego samego rodziłem się na nowo. Osiemnastego listopada czterdziestego trzeciego. Zginąłem w rzece, w Dnieprze, a urodziłem się na brzegu. Jak długo żyć będę — pamiętać będę. Tamten straszliwy dzień. I tamtą szczęśliwą godzinę.

Zimny był ów listopadowy dzień, mroźny i wietrzny. W środku nocy wyrwano pluton ze snu. Alarm dla zwiadu — a sierżant Chamit Samatow w zwiadzie wtedy służył. Dostali rozkaz: rzekę trzeba przebyć jak najszybciej, bo Niemcy szykują się do wysadzenia resztek tam Dnieprogesu, jednej z największych elektrowni wodnych na Dnieprze. Teren po drugiej stronie rzeki należy zbadać dokładnie, ustalić umocnienia i porachować gniazda karabinów maszynowych. I, oczywiście, wykryć stanowiska artylerii.

Trzydziestu ośmiu zwiadowców wsiadło do płaskiej krypy. Trzy kulomioty zabrali ze sobą, a granatów to już nie zliczyć. I popłynęli cichutko na przeciwległy brzeg. Byli pośrodku rzeki, gdy faszysta rakiety nad Dnieprem zawiesił. Nad Chorticą zrobiło się jasno jak za dnia. Natychmiast odezwały się niemieckie cekaemy, zawtórowały im działa. Wybuchu pocisku, który roztrzaskał ich łódź, sierżant zwiadu nie pamięta. Ocknął się w lodowatej wodzie. A pływać Uzbek Samatow nie umiał. Bo i gdzież na pustyni nauczysz się pływać? W lewej ręce poczuł straszliwy ból. Dostał widocznie. Na szczęście, prawą, zdrową zdołał pochwycić się jakichś przepływających akurat desek. Może resztek rozbitej krypy? Potem chyba stracił przytomność.

Nagle ktoś dotknął jego lewej ręki. Z bólu oprzytomniał momentalnie. Podniósł powieki — niczego nie widać. Jeno blask przeraźliwy przed oczyma. Jęknął pewnie. Tymczasem ten ktoś usiłuje wyciągnąć go z śniegowej zaspy. Płonie ręka, rwie. Jęknął Chamit głośniej, powstrzymać się nie mógł.

— Żyje. Bierzmy go na pałatkę — słyszy. — Widocznie fala wyrzuciła chłopaka na brzeg. Dobrze, że nie zamarzł...

I znów blask przed oczyma, a potem ciemność. Co było dalej, sierżant nie pamięta.

Ocknął się w piwnicy. Czyjeś ręce przewiązywały mu rany. Jak przez mgłę ujrzał nad sobą dwie kobiece twarze. Starszą i młodszą.

— Pić — wyszeptał.

— Chałupa zburzona, studnia zasypana — powiedziała któraś.

Roztopionym śniegiem zwilżyły mu usta, potem między wargi wsunęły drobinkę cukru, później okruchy makuchu.

Rankiem zaprzęgły krowę do furmanki i odwiozły rannego do wojskowego lazaretu. Na pożegnanie zdjęcie im zostawił, bez podpisu i bez adresu. Po co? Zwyczajnie, z wdzięczności.

— Wtenczas, dzięki tym dwóm nieznajomym ukraińskim kobietom ponownie przyszedłem na świat — powiada Chamit Samatow i uśmiecha się leciutko.

Nie udało się sierżantowi zwiadu dotrzeć do Berlina. Po kilku miesiącach spędzonych w szpitalu powrócił do rodzinnego Kattakurganu. Jako inwalida. W lewej ręce, choć ocalałej cudem, władzy nie miał.

Zaledwie zszedł na pusty peron, parę kroków zrobił, raptem słyszy za sobą:

— Wujku, daj chleba...

Obejrzał się żołnierz. Blade, niemal przezroczyste stworzenie rękę szczuplutką wyciąga. Poszperał Chamit w wojskowym plecaku, wydostał dwa ostatnie suchary. Malec pogryzł je błyskawicznie, przełknął i znów dłoń nadstawia. Objął go wtedy Chamit zdrową ręką — lewa wciąż jeszcze wisiała na temblaku — i do serca przycisnął. Potem okrył połą szynela i pomaszerował do domu. Jak we mgle szedł, drogi od łez nie widział.

Uszczęśliwieni z powrotu syna rodzice nie od razu dostrzegli kryjącego się z tyłu.

— Czyj? — surowo zapytał ojciec. — Twój?

— Żeniłeś się, synku? Nie pisałeś ni słowa — szepnęła matka.

— Nie mój. Nasz — odpowiedział Chamit. — Nasz będzie od dzisiaj, ojcze.

— Dobrześ zrobił, synku. Wcześniej przyjęliśmy Donata. Rosjanina, któremu wojna zabrała ojca i matkę. Będzie mieć Donat młodszego brata. Kuczkara.

Dali zatem chłopcu na imię Kuczkar.

Wojna. Straszny czas dla ludzi. I na froncie, i na tyłach. Wówczas po trzydzieści dekagramów chleba wydawano dorosłym. Ludzie puchli z głodu, umierali. Ciężko było. A jednak w tym strasznym czasie sto tysięcy sierot znalazło dach nad głową w Uzbekistanie. W domach dziecka, w internatach, przy rodzinach. Taszkiencki kowal Szamachmudow i jego żona Bachri przygarnęli do swojej lepianki czternaścioro dzieci wojny. Dziś na jednym z centralnych placów Taszkientu wystawiono pomnik tej niezwyczajnej rodzinie.

— Niezwyczajnej? Zwyczajnej, ludzkiej — kręci głową Chamit. — Dziecko umiera przy drodze. Bezdomne dziecko. Z głodu umiera. A życie dziecka niby świeczka na wietrze. Gaśnie za byle podmuchem. To co, przejdziesz obok? Nie zatrzymasz się, nie wyciągniesz ręki?

Nie, Chamit Samatow obok dziecięcego nieszczęścia obojętnie nie przechodził.

Jeszcze tej zimy spotkał Arsłana Ormianina. Potem Lizę. Nieco później Nuriżachammata Tadżyka. Potem znów Rosjanina Iwana. Żenię Białorusina. I Uzbeka Sunata. I Tatarzyna Kerima.

Trzynaścioro sierot przygarnął były sierżant zwiadu. Inwalida drugiego stopnia. I wciąż jeszcze kawaler.

Kiedyś któregoś dnia nie było już zupełnie co do garnka włożyć, a pusty dom wypełniały tylko głodne oczy dzieci, nie wytrzymał były sierżant. Sprzedał na bazarze niezłe jeszcze buty i wojskowy szynel. Za dwa worki jęczmiennych otrąb sprzedał. Dobrze sprzedał.

Nazajutrz do roboty poszedł boso i w stareńkim, cera na cerze, watowanym chałacie.

Komendant Mielnik, Wasilij Akimowicz znaczy się, dobry był, ale srogi. Kiedy ujrzał swojego zaopatrzeniowca w takim stanie, krzyczeć zaczął. Aj, aj, jak krzyczał. „Przepiłeś umundurowanie, powiada. Nieładnie, Chamit, powiada. Wstyd żołnierzom walczącym na froncie przynosisz, powiada".

— Kiedy ja nie piję, Wasiliju Akimowiczu.

— Gdzieżeś więc podział płaszcz i buty?

— Sprzedałem. Dzieci głodne mam. Karmić trzeba, Wasiliju Akimowiczu.

— Jakie znów dzieci? Co mi tu wygadujesz? Przecież jeszcześ kawaler?

I nie uwierzył w opowieść o głodnych dzieciach. „Pójdźmy, powiada, sprawdzić".

Kiedy Wasilij Mielkin zobaczył trzynaścioro malców, trzynaście par smutnych oczu, łzy zakręciły mu się pod powiekami. Roztajał stary żołnierz. „Cóżeś ty milczał, powiada, tyle czasu? Czemuś jednego słowa nie szepnął, Samatow? Ech, sierżancie..."

I zaraz polecenie wydał: kto może, niechaj pomaga dzieciom Chamita Samatowa. Ze stołówki wiadro zupy codziennie sierotom kazał przynosić. W domu żonie wszystko opowiedział. Maria Mielnikowa i ciocia Dusia potem wspólnie z matką Chamita obszywały dzieci, opierały. Od tamtego dnia lżej się zrobiło. No i tak z ludzką pomocą wojnę jakoś przeżyli. przeżyli.

Czarnowłosa Sanowar pojawiła się w rodzinie Samatowów wraz ze zwycięstwem. W maju czterdziestego piątego młodzi wzięli ślub. Miała wtenczas dziewiętnaście lat. Niewysoka, szczuplutka, z wesołymi oczami i dobrym uśmiechem na wargach. Spod barwnej wzorzystej czapeczki wypływało jej dwadzieścia osiem cienkich warkoczyków zaplecionych zgodnie z uzbeckim zwyczajem.

Tak oto dziewiętnastolatka od razu, z dnia na dzień, została matką trzynaściorga dzieci Chamita. Potem, już w latach pięćdziesiątych doczekała się jeszcze własnych: pięciu synów i córki.

— Tak naprawdę to nie dziewiętnaścioro dzieci wychowaliśmy z moją Sanowar, ale trochę więcej. Sąsiad zginął na froncie, sąsiadka zmarła ze zgryzoty. Dwoje sierot pozostawiła. Nie weźmiesz? Krewniaczka nasza odeszła z tego świata. Sieroty same w domu płaczą. Nie weźmiesz?

Dzisiaj wielka rodzina Chamita Samatowa liczy ponad sto osób. Dzieci, wnuków i prawnuków.

— O czym marzyłem w głębi duszy po wojnie, kiedy już dzieci podchowały się, wykształciły? O spotkaniu z tamtymi dwiema nieznajomymi ukraińskimi kobietami. Ech, odnaleźć je trzeba, myślałem sobie — życie mi wówczas ocaliły, bo zupełnie martwy byłem — koniecznie trzeba je odnaleźć, podziękować, do kolan się pokłonić. Ale jak je odnaleźć? Gdzie szukać? I wtedy o mnie w gazecie napisali, w „Komsomolskiej Prawdzie". Lidia Grafowa napisała. Dobry człowiek. Bardzo dobry. I nagle otrzymuję list od Nadieżdy Iwanowny, nauczycielki z Rostowa. „Chamit-aka — pisze — drogi, od razu cię poznałam. I mama również. Niewiele się zmieniłeś..." Zaproszenie posłałem. Przyleciała z mężem, kierownikiem szkoły. Spotkaliśmy się na lotnisku w Samarkandzie, popłakali mało-mało i lżej mi się zrobiło na sercu, zupełnie jakbym siostrę odnalazł po latach.

*

Cóż mogę dodać na zakończenie tej mojej ballady o niezwyczajnym żołnierzu z dalekiego Kattakurganu? Może to, że całkiem niedawno skrzyknęły się tu wszystkie dzieci Chamita. Przyjechał wtenczas i Nurimachammat z Karszyńskiego Stepu, i Kuczkar z Orenburga, i Arsłan z Kujbyszewa, przyleciał nawet Iwan ze Swierdłowska. I dom nowy wspólnie ojcu wystawili. Jasny, przestronny, z rzeźbionymi kolumienkami. Ten właśnie, w którym spisałem to wszystko, com usłyszał.

Zdzisław Nowak
Rys. Zbigniew Rychlicki

UZBEKISTAN TO NIE TYLKO...

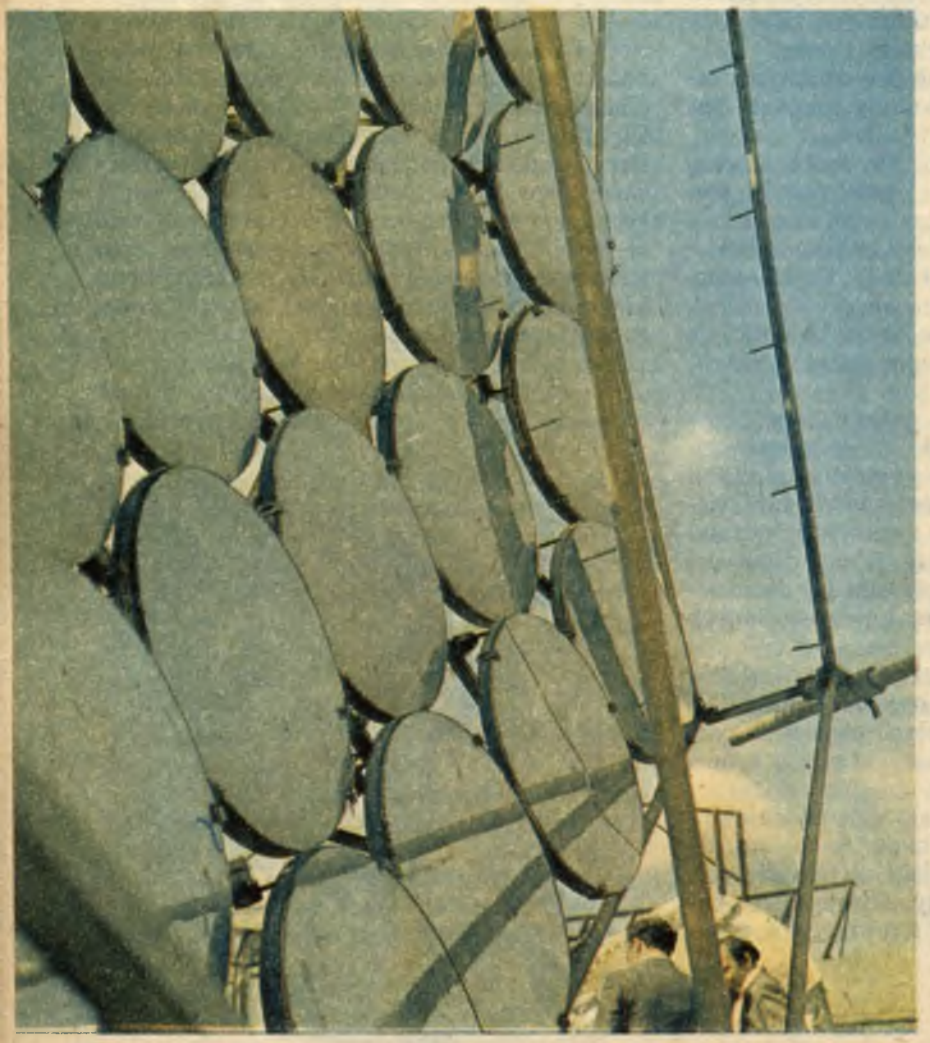

...ojczyzna mądrego Hodży Nasreddina, kraina wspaniałych zabytków budownictwa sprzed stuleci, przepięknych wschodnich baśni oraz słodszych od miodu i fig, arbuzów, melonów i winogron.

Uzbekistan to również kraj nowoczesnej techniki. Tutaj, w Taszkienckich Zakładach Lotniczych im. Czkałowa produkuje się przecież pasażerskie samoloty odrzutowe, słynne Ił-62. Tu przy pomocy specjalnych luster (patrz zdjęcie z lewej strony) wykorzystuje się energię słoneczną zarówno do gotowania posiłku na pustyni, do ogrzewania domów, jak i do poruszania maszyn. Tu z głębi piasków pustynnych wydobywa się ropę naftową, gaz ziemny, węgiel, a nawet złoto. Nikogo zatem niech nie dziwi, że

Fot. Zdzisław Nowak

pośród pustyni Kyzył-kum wyrosły miasta wielkiej chemii: Nawoi, Zerawszan, Mubarek. W unowocześnianiu republiki pomagają Uzbekom mieszkańcy ponad stu narodowości ZSRR. I Rosjanie, i Ukraińcy, i Tadżycy, i Turkmeni, i Kirgizi, i Kazachowie...

A ja dodam, że i Polacy. Któregoś dnia dobry los zawiódł mnie do ogromnych zakładów chemicznych w pobliżu Samarkandy. Ku mojemu zdziwieniu — i uciesze — spotkałem tam polskich specjalistów instalujących polskie urządzenia, które będą przetwarzać uzbecki gaz i ropę naftową. Oto nasi inżynierowie w rozmowie z miejscowym dyrektorem.

Zdzisław Nowak

JAK POLOWAŁEM NA JADOWITE GADY

MINUTKA

Żyje w Uzbekistanie bardzo jadowita żmija z rodzaju Vipera lebetina (daleka krewna naszej żmii zygzakowatej), o której nawet najbardziej doświadczeni łowcy wężów wyrażają się z niekłamanym szacunkiem i obawą. Owa, znacznie groźniejsza od kobry, żmija „minutka" zamieszkuje suche stepy oraz przedgórza i większość gór Azji Środkowej.

— Dlaczego akurat „minutka"? — zapytałem Anatola Sindjukowa, młodego naukowca, a zarazem łowcę jadowitych gadów, podczas wizyty w taszkienckim Instytucie Zoologii i Parazytologii Akademii Nauk Uzbekistanu.

— Żmiją „minutką" nazwała ją ludność miejscowa z powodu ogromnej toksyczności, czyli wielkiej siły działania wydzielanego jadu. Ukąszenie giurzy (bo o niej właśnie mowa) jest śmiertelne nawet dla dużych ssaków, także i człowieka. Mieszkańcy podgórskich wiosek wierzą od pokoleń, że ukąszony przez giurzę umiera już po minucie. Stąd i jej okrutna w swej lapidarności nazwa — wyjaśnił Anatol, kiedyśmy maszerowali we dwójkę w kierunku budynku, w którym znajdować się miały setki jadowitych żmij. Żywych!

„Umiera się po minucie? No, to piękne perspektywy przed tobą, Zdzisiu, na najbliższe dni, nie ma co" — pomyślałem sobie w głębi duszy. I poczułem się niewyraźnie. Moja niewzruszona wiara we własną odwagę tajała niczym lód w azjatyckim słońcu. „A może lepiej zaniechać niewydarzonych zamysłów? Nikomu jeszcze nie wspominałem o swoich planach. Mogę więc wycofać się bez wstydu z niebezpiecznej eskapady. Nikt mnie przecież nie będzie zmuszać do polowania na jadowite gady. Na odwrót, to ja sam, z własnej i nieprzymuszonej woli, chciałem pod zęby giurzy nadstawić nogę. Tak, tak, nogę, bo ona w spotkaniu z jadowitym wężem najbardziej jest ponoć narażona na ukąszenie".

Przed chwilą w gabinecie dyrektora instytutu dowiedziałem się, że jedynym skutecznym lekarstwem na ukąszenie giurzy jest natychmiastowy zastrzyk, sporządzony z jadu żmii tego samego gatunku. Niepozorne ampułki „antygiurzinu", rozsyłane z Taszkientu do najdalszych krańców republiki i poza nią, ocaliły już wiele tysięcy istnień ludzkich.

Produkcja surowicy przeciwjadowej nie jest jednakże sprawą prostą. Naukowcy uzbeccy w porozumieniu ze służbą zdrowia ustalili ilość jadu niezbędną dla przemysłu farmaceutycznego. Otóż potrzeba półtora kilograma! Tymczasem z jednego „udoju" średniej wielkości giurzy otrzymuje się niespełna 200 miligramów jadu. Aż trudno sobie wyobrazić, ile niebezpiecznych gadów trzeba pochwycić i dostarczyć w nie uszkodzonym stanie do instytutu w ciągu każdego sezonu łowieckiego, aby zaspokoić zapotrzebowanie na te drogocenne leki.

— Wysuszony jad rozpuszcza się w specjalnym płynie (złożonym głównie z gliceryny i roztworu soli kuchennej), po czym wstrzykuje się go podskórnie koniom. Co siedem dni, przez czternaście tygodni zdrowe zwierzę otrzymuje dawkę jadu, za każdym razem odrobinę większą. Organizm konia reaguje na truciznę błyskawicznie. Zaczyna wytwarzać tak zwane antytoksyny, czyli ciała zwalczające śmiercionośny jad. W odpowiednim momencie z krwi pobranej od uodpornionego zwierzęcia, po sprawdzeniu i oczyszczeniu, sporządza się surowicę, którą potem rozlewa się do ampułek. I oto zastrzyki gotowe do wysyłki. Rozbrykane na pastwisku rumaki nawet nie przypuszczają, jak wielką przysługę oddały ludziom, pokąsanym przez jadowite węże gdzieś w piaskach pustyni czy na górskich bezdrożach.

OPOWIEŚĆ SASZKI

— Saszka, a jak wyglądało pierwsze zetknięcie się z jadowitymi gadami? Kiedy przeszedłeś chrzest bojowy?

— Było to chyba sześć lat temu. Dokładniej sześć lat i cztery miesiące. Przestudiowałem kilka podręczników, obejrzałem sobie dokładnie gadzinę w instytucie i doszedłem do wniosku, że mogę już zaczynać. Na łowy wybrałem się na przedgórza Nura-tau. Pięknie tam. Surowe, skaliste góry z fioletowoszarymi osypiskami, kręte wąwozy, a w nich rozigrane, wesołe strumienie. Wokoło gęste zarośla dzikiej róży, gdzieniegdzie kępy morwy, pistacji, a nawet greckiego orzecha. Widoki, jakich nie odda pędzel najlepszego artysty.

Najpierw pogapiłem się na te wszystkie cudeńka natury, potem zerwałem garść doj-

rzałych jagód morwy. Słodsze od miodu, same rozpływały się w ustach. No, ale wreszcie trzeba .było zabrać się do roboty. Nie przyjechałem na wywczasy... Ruszyłem więc powolutku, przed siebie. Idę, prętem uderzam po krzaczkach, nasłuchuję i nic. Cisza, aż uszy bolą. Posuwam się parę kroków do przodu i znów nasłuchuję. Spokój. Żadnego szelestu. Trochę się boję gadziny. Ale i gadzina mnie się boi — pocieszam się, jak potrafię. Mija godzina, dwie, trzy... Najwidoczniej węże pochowały się przede mną. Może to i lepiej? Licho wie, czy potrafiłbym je pochwycić. Żywe bydlę to jednak nie to samo, co grzeczny obrazek w książce. Zaledwie sobie to pomyślałem, a tu żmija. Nogi mi zmiękły w kolanach, ręce zadrżały, spociłem się jak mysz.

Łapać czy nie łapać? Do dzisiaj nie bardzo wiem, w jaki sposób udało mi się przycisnąć ją do ziemi. Pochwyciłem gadzinę ostrożnie, lecz mocno, i wrzuciłem do worka. Potem poszło mi już lepiej. Przez dwa dni złowiłem osiem tęgich okazów. Wracając do Taszkientu czułem się co najmniej jak Aleksander Wielki po zwycięstwie nad Persami. Pomyśl, pierwsza wyprawa i od razu taki sukces.

— Zuch.

— Niezupełnie — roześmiał się Dżabaj. — Opowiedz, Saszka, czym się ta wyprawa zakończyła.

— Ano, przyniosłem zdobycz do instytutu. Kiedy dyżurny zajrzał ostrożnie do worka, poczerwieniał, zabulgotał coś i przez trzy dni gadać ze mną nie chciał. A księgowy dostał kolki ze śmiechu. Kwitka nie mógł wypełnić, bo mu długopis wylatywał z ręki. Okazało się, że przywiozłem same połozy, niejadowite, dość pospolite węże. W sam raz dla kółka młodych przyrodników w pałacu pionierów.

ORŁY

Po przebyciu kilku kilometrów przystanęliśmy w szerokim, niezbyt głębokim jarze, zarzuconym odłamkami skał, porosłym tu i ówdzie kępami wątłych krzewinek.

— Spójrz, orły.

Rzeczywiście. Dwa wielkie ptaki płynęły majestatycznie w powietrzu. Zakreślały koła na błękitnym tle nieba. Zdawało się, że nic ich nie interesowało poza sztuką podniebnej żeglugi. Nie umiałbym powiedzieć, jak długo trwało to złudzenie. Bo oto nagle, jeden po drugim, spadły niczym pociski w płytką dolinę między rozpadliny kamienne. Już po chwili poderwały się w powietrze. Najpierw jeden lekko, bez zdobyczy wzniósł się w górę, potem drugi poderwał się ciężko, gwałtownie łopocząc skrzydłami. W szponach trzymał szalejącą, zwijającą się „dżdżownicę". Nawet z tej odległości widać było, że pochwycony wąż należał do gatunku olbrzymów.

— Niedobrze, giurza — rzekł półgłosem Sasza. — Szkoda orła. Zginie.

Walka powietrzna nie trwała długo. Omotany — a może i ukąszony — przez giurzę orzeł znieruchomiał na moment, po czym zwalił się na ziemię. Koniec dramatu. Na niebie krążył samotnie jego partner.

— Sasza, chciałbym zobaczyć z bliska, jak to się zakończyło — jęknąłem błagalnie.

— Możemy pójść. Niedaleko.

Ruszyliśmy w kierunku kanciastej bryły skalnej, obok której jak się nam wydawało spadł pokonany orzeł. Przezornie omijałem

Oto stepowy dziw nad dziwy: ten biały piasek na pierwszym planie nie jest wcale piaskiem, lecz solą. Prawdziwem, najprawdziwszą. Nic dziwnego, ponieważ niegdyś ziemie te tworzyły dna mórz i oceanów.

Dzisiaj piaski pustynne przemierzają karawany samochodów, głównie ciężarowych. Coraz rzadziej wędruje się tam na wielbłądzie (co właśnie usiłuje uczynić autor tego reportażu).

kępy sporych zarośli. Ostrożność nie zawadzi, a spodnie już raz cerowałem. Nauka nie poszła w las. Tymczasem obaj łowcy rozglądali się uważnie na boki. Skoro już wyruszyło się na polowanie, nie wypadało wracać do instytutu z pustymi rękoma. Pojedynczy okaz najwyraźniej nie zaspokajał ambicji moich towarzyszy. Jednakże bez łowieckich sukcesów dotarliśmy do skały. Kilkadziesiąt kroków poza nią odnaleźliśmy między kamieniami martwego orła. Giurzy ani śladu.

WARAN

— Czy poza człowiekiem i orłem, gady jadowite mają jeszcze na świecie kogoś, kogo musiałyby się nieustannie obawiać?

Mój encyklopedysta jakby tylko czekał na pytanie. Natychmiast potoczyła się nowa opowieść.

— Oczywiście mają, przede wszystkim szczura faraona, czyli ichneumona (mungos). Niewielkiego, drapieżnego ssaka, zwanego także mangustą, niegdyś czczonego w starożytnym Egipcie, oswajanego przez kapłanów i ludzi chcących spać spokojnie. Jeszcze dzisiaj w niektórych krajach Afryki i Azji chowa się szczura faraona jako tępiciela jadowitych węży. Bo mangusta to urodzony wojownik o sercu nieustraszonym, zwinny i szybki atakuje błyskawicznie, ale ukąszony, niestety, ginie.

Jest jeszcze jedno zwierzę, które nie tylko nie obawia się spotkania z jadowitymi wężami, ale samo na nie bazkarnie poluje traktując owe gady jako smakowitą przekąskę. Nawet największych rozmiarów kobry czy giurzy unikają go więc jak zarazy. Myślę o naszym dobrym znajomym z piasków Kyzył-kum.

— Czyżby waran?...

— A tak, waran. Waran szary, olbrzymia jaszczurka półtorametrowej długości, ruchliwy niewybredny drapieżnik, nazywany tutaj „krokodylem pustyń środkowoazjatyckich". W polowaniu na jadowite węże z powodzeniem współzawodniczyć może z wojowniczą mangustą. Z tą jednak różnicą, że mangusta atakuje węża, bo tak nakazuje jej instynkt myśliwego, ale po zagryzieniu nierzadko pozostawia pokonanego w spokoju, waran natomiast poluje, by zaspokoić swój nienasycony żołądek. Po wyśledzeniu i upolowaniu węża waran z miejsca pałaszuje swoją ofiarę. Iczkimer, bo tak brzmi po uzbecku nazwa jaszczura, zbrojny w długie, ostre zęby nie gardzi myszami, młodymi żółwiami, jeżami, stepowymi agamami, ale prawdziwym przysmakiem pozostają dlań jadowite gady. Niedawno uczeni radzieccy stwierdzili że waran jest całkowiecie uodporniony na działanie śmiercionośnego jadu węży. Przeprowadzone doświadczenia wywołały prawdziwą sensację w świecie naukowym. Dawka jadu kobry, która mogłaby zabić cztery tysiące ludzi, dla warana jest zupełnie nieszkodliwa. Biolodzy badają ten fenomen. Kto wie, może już wkrótce ów „krokodyl pustyni" dopomoże naukowcom w stworzeniu skutecznej surowicy przeciwko ukąszeniom wszelkich jadowitych gadów. Ocaliłoby to życie wielu ludziom Azji, Afryki, Australii, a przede wszystkim Ameryki, gdzie tych gadów jest najwięcej. Uchroniłoby także bydło domowe, głównie owce i krowy wypasane w rejonach występowania węży. Czabanowie mogliby odtąd spać spokojnie, a my zapewne musielibyśmy poszukać sobie nowego zajęcia. Ot, choćby przy sadzeniu pistacjowych gajów.

Tekst i fot. Zdzisław Nowak
(Fragment z książki „Opowieści z czajchany")

SEDNO RZECZY

Bawełna — to obłok — to balon
Toczący się po ziemi.
Nie. Porównanie nie pasuje.

Może bawełna to kipiący sagan żaru.
Nie, i to wygląda inaczej.

Bawełna — to kłębiąca się para
Z ust dechkanina *
Jak oddech,
Jak słowa!

A dechkanin, a człowiek
Do końca będzie oddychał.

Muchammad Solich
Przełożył Florian Nieuważny

---

* *Dechkanin (uzb.) — chłop, wieśniak.*

Rys. Przemysław Woźniak

BAWEŁNA

Bibi rozpoczyna opowieść „od początku świata".

— Bawełna, po rosyjsku „chłopok", a po uzbecku „pachta", to najważniejsza na kuli ziemskiej roślina włóknodajna, użytkowana przez człowieka na przędziwo od kilku tysięcy lat. Jeszcze dzisiaj mało kto zdaje sobie sprawę z tego, co współczesnemu człowiekowi może dać niepozorny krzak bawełny. Na ogół wie się jedynie o materiałach ubraniowych. Tymczasem białe złoto — gdyż tak w całej Azji Środkowej nazywa się bawełnę — to prawdziwy skarb, a właściwie cała kopalnia różnorakich skarbów. Posłuchaj.

W 1974 roku po raz pierwszy w historii zebraliśmy z naszych pól ponad 5 milionów ton bawełnianego puchu. Czy wiesz, co można zeń otrzymać?

Uzbecki zbiór bawełny to corocznie 19 miliardów metrów tkanin, z których dałoby się uszyć ubrania dla ludności ziemskiego globu, przyodziewając wszystkich: niemowlęta, młodzież i dorosłych. Z włókna bawełnianego wytwarza się około 850 rodzajów i gatunków tkanin bieliźnianych, ubraniowych, dekoracyjnych, technicznych. Cieniuteńkie batysty i tiule, delikatną flanelę, miękką baję, pikę, ciepły barchan, popelinę, aksamit, moleskin przypominający do złudzenia szlachetny atłas, welwet, kowerkot, krepę, a także sztuczną skórę cholewkarską, imitację skóry introligatorskiej, imitację zamszu, mocne płótno żaglowe i wiele, wiele innych.

Wata na patyku, czyli najdziwniejszy owoc świata. To właśnie z tej waty owocu bawełny — przędzie się nici, a z nich materiały na ubrania.

Uzbecki zbiór bawełny to także 3 miliony 200 tysięcy ton nasion, dostarczających ponad 540 tysięcy ton wyśmienitego, odżywczego oleju. Jak smaczny jest to olej, mogłeś stwierdzić, jedząc pierożki samsa czy choćby tradycyjny płow w każdej z naszych restauracji lub czajchan, od Taszkientu po Samarkandę, Bucharę, Chiwę, Andiżan.

Po obróbce chemicznej z oleju bawełnianego otrzymuje się produkt wyjściowy do wyrobu margaryny i gliceryny, z której z kolei wyrabia się nitroglicerynę, przeróżne artykuły perfumeryjne, pokosty, lakiery itp. Z odpadków pozostałych po rafinowaniu oleju otrzymuje się jeszcze ponad 130 tysięcy ton mydła.

Po przerobieniu pozostałości nasion bawełny nasi hodowcy dostają ponad milion trzysta tysięcy ton makuchów, łusek i cennej śruty, a więc znakomitych dodatków odżywczych do mieszanek paszowych, dzięki którym otrzymuje się 100 tysięcy ton mięsa, albo około 600 tysięcy ton mleka, albo ponad 1,8 miliarda jaj. Naturalnie, nie licząc wełny, puchu i pierza.

Bibi skinęła na gospodarza czajchany, aby zmienił nam opróżniony imbryk na pełny, ja zaś korzystając z przerwy

w wykładzie odzywam się z poważną gębą:

— Bibi, tyś chyba nie dziewczyna. Podejrzewam, że jakiś dżin pustynny nadał postać czarującej krasawicy zwykłemu tomowi encyklopedii.

Bibi śmieje się z wymyślnego komplementu, lecz nie przerywa monologu. Zerkając co chwila do notatnika, opowiada dalej:

— Z łusek nasion jednorocznego zbioru bawełny można natomiast uzyskać blisko 76 tysięcy ton furfurolu (ważnego surowca w przemyśle chemicznym, służącego do wyrobu tworzyw sztucznych, alkoholi wyższych, żywic syntetycznych oraz wielu składników organicznych, w tym także kauczuku syntetycznego), ponad 98 tysięcy ton ksylitu (używanego w przemyśle tytoniowym, spożywczym, kosmetycznym, papierniczym i farmaceutycznym), około 66 tysięcy ton spirytusu.

Ale krzew bawełniany ma jeszcze łodygi, które nazywamy po uzbecku guza-baja. Do niedawna po sprzęcie bawełny guza-bai używano niemal wyłącznie na opał. Dzisiaj, dzięki wysiłkom radzieckich chemików, jest to również surowiec przetwórczy. A więc z guza-bai można dodatkowo otrzymać 310 tysięcy ton furfurolu, 175 tysięcy ton spirytusu oraz niespełna 44 tysiące ton drożdży spożywczych i paszowych.

— I jeszcze meble, Bibi — wtrąciłem.

Dziewczyna spojrzała na mnie unosząc wysoko brwi.

— We wczorajszej „Prawdzie Wostoka" przeczytałem, że w Sergeli koło Taszkientu rozpoczęto budowę dużej fabryki mebli z guza-bai. Bawełniane płyty prasowane pod ciśnieniem odznaczają się ponoć doskonałymi właściwościami konstrukcyjnymi. Wkrótce będzie można wyrabiać z nich eleganckie, nowoczesne meble kuchenne i pokojowe.

Czarnobrewa klasnęła z uciechą w dłonie.

— No, sam widzisz. Badyle będą mieć jeszcze jedno zastosowanie, tym razem w przemyśle meblarskim. W budownictwie guza-baja jest już wykorzystywana jako surowiec do produkcji budynków z gotowych elementów. Nie wiem, czy wiesz, że fabryka domów z guza-bai powstała przy wydatnej pomocy polskich konstruktorów, których doświadczenie w zakresie budownictwa wielkopłytowego cenimy sobie tutaj wysoko. Ale, ale, nie mówiliśmy jeszcze o liściach krzewu bawełny. One również się nie marnują. Wytwarzamy z nich kwasek cytrynowy i jabłkowy, stosowany w przemyśle spożywczym, włókienniczym, poligraficznym, a także do wyrobu cennych leków.

Wspomnieć też wypada o takich produktach wywodzących się z bawełny, jak proch, dynamit, chloroform, fibra, celuloid, papier, tektura, celofan, materiały izolacyjne, taśma filmowa, błona fotograficzna...

Trudno się z Bibi nie zgodzić. Bawełna to dla człowieka istna kopalnia skarbów. Pod tym względem żółty kruszec najczystszej próby nie dorasta białemu złotu nawet do pięt.

Tekst i fot. Zdzisław Nowak
(Fragmenty z książki „Opowieści z czajchany")

Tylko w Uzbekistanie (i jeszcze w USA) produkuje się specjalne kombajny do zbierania z pól bawełnianego puchu. Takie gigantyczne „odkurzacze" na kołach.

TO LUBIĘ w Muzeum Marzeń SABINY UŚCIŃSKIEJ-SIWCZUK

1. Kołatka na drzwiach portalu katedry w Durham w Anglii (XII wiek)

2. Fragment malowidła ściennego z Faras (VII wiek — Muzeum Narodowe w Warszawie)

3. Syryjska figurka bóstwa (II wiek przed naszą erą — Muzeum w Luwrze, Paryż)

4. Głowa Dawida — rzeźba Michała Anioła Buonarotti (XV wiek — Muzeum we Florencji)

1

2

TO LUBIĘ

ZANIM ZAPALISZ ŚWIATŁO (2)

ELEKTROWNIE WODNE

Większość energii elektrycznej produkują elektrownie opalane węglem, nazywane elektrowniami cieplnymi (patrz „Płomyczek" nr 5). Wszystkie te elektrownie, a także elektrociepłownie, które oprócz energii elektrycznej dostarczają ciepłej wody dla centralnego ogrzewania — mają wysokie, dymiące kominy.

Czy są jakieś obiekty, które nie dymią, a mogą produkować energię elektryczną? Tak. To elektrownie wodne.

Największą elektrownią wodną w Polsce jest elektrownia we Włocławku. Popatrzcie na mapę. Niebieska linia Wisły od Płocka rozszerza się. To zalew, czyli miejsce, gdzie zgromadzono spiętrzoną wodę przez wybudowanie zapory na rzece.

Elektrownie wodne znajdują się m. in. także w Solinie i w Myczkowcach na Sanie, w Sulejowie na Pilicy, w Dębem na Narwi. Razem z zaporami powstały tam zbiorniki wodne spełniające wiele funkcji. Chronią całe okolice przed powodziami i zbytnimi suszami, umożliwiają hodowlę ryb. Są wspaniałymi terenami rekreacyjnymi, można tu się kąpać, pływać na łodziach i żaglówkach.

Spiętrzona woda spadając porusza turbiny, które obracają wały generatorów. Właśnie w generatorze powstaje energia elektryczna. Droga tej energii do odbiorcy jest taka sama jak w przypadku energii wyprodukowanej przez elektrownię cieplną (z generatora przez transformator do linii przesyłowych i dalej po całym kraju). Krajowy system elektroenergetyczny, czyli wszystkie urządzenia służące do wytwarzania, przesyłania i rozdziału energii elektrycznej — połączony jest z systemami energetycznymi pobliskich krajów.

W naszym systemie elektroenergetycznym, w którym najważniejsze są wielkie elektrownie cieplne, elektrownie wodne spełniają często rolę „pogotowia energetycznego". Dają do sieci energię w godzinach tzw. szczytu, wtedy, kiedy zapotrzebowanie jest największe.

Szczególnym rodzajem elektrowni wodnych są elektrownie szczytowo-pompowe. Wykorzystuje się w nich różnice poziomów wody w dwóch zbiornikach, jednym położonym wysoko i drugim — niżej. Woda spływając ze zbiornika wyższego do niższego porusza turbiny i rozpoczyna proces produkcji energii elektrycznej.

W nocy, gdy zużycie prądu maleje, a elektrownie cieplne produkują go w nadmiarze, włączane są pompy tłoczące wodę rurami z powrotem — ze zbiornika dolnego do górnego.

Zapora w Tresnej

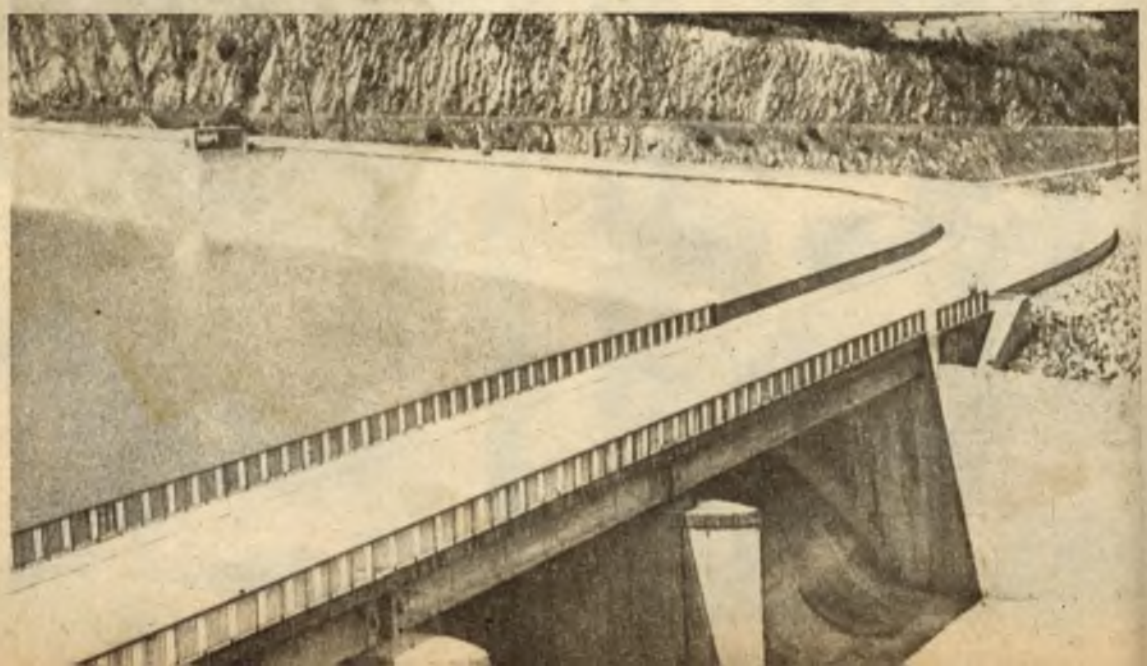

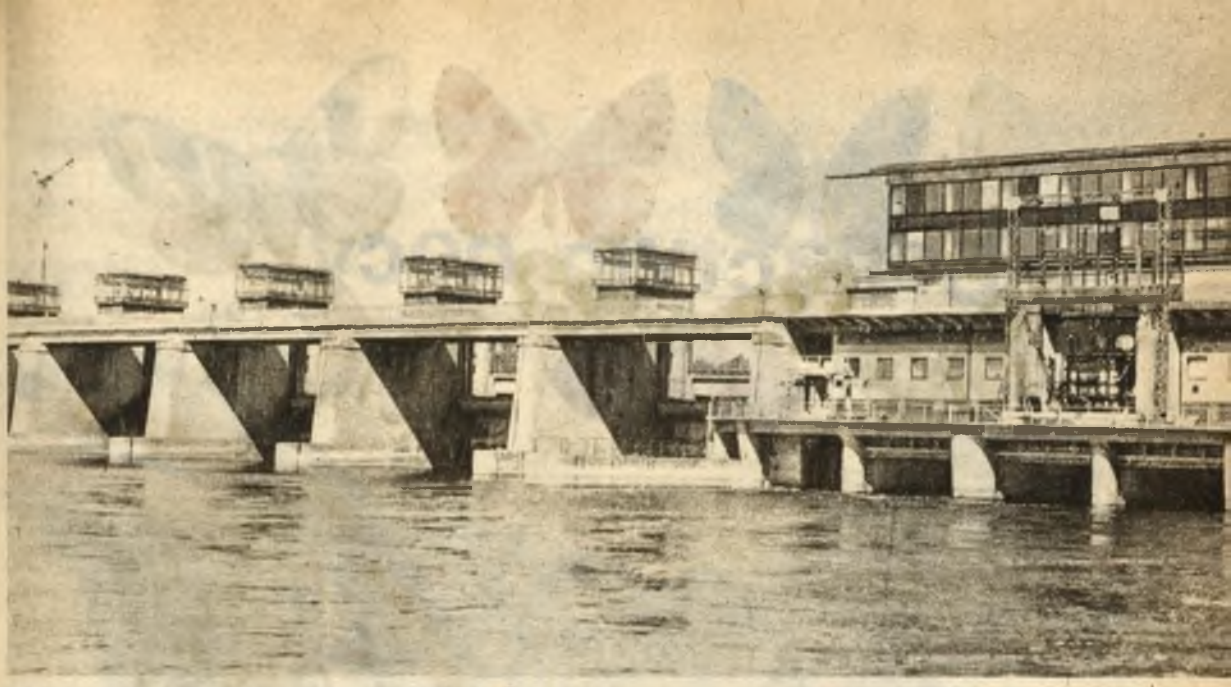

Elektrownia wodna na zaporze w Dębem

Taką elektrownią jest np. elektrownia Porąbka-Żar, gdzie górny zbiornik znajduje się w wydrążonym szczycie góry Żar, a dolny stanowi sztuczne jezioro utworzone przez zaporę w Porąbce.

Przed laty, kiedy sieć energetyczna nie była tak rozbudowana jak obecnie, wiele gospodarstw położonych nad rzekami otrzymywało energię elektryczną dla własnych potrzeb z małych elektrowni wodnych. Teraz, gdy bardziej dba się o ochronę środowiska naturalnego, a oszczędność źródeł energii stała się koniecznością, wraca się do tych zapomnianych obiektów. Remontuje się stare stopnie wodne i instaluje przy nich nowocześniejsze turbiny i generatory.

Wykorzystuje się również inne czyste źródła energii, np. wiatr, budując urządzenia przypominające dawne wiatraki. Poruszające się pod wpływem wiatru śmigła napędzają generatory energii.

Elektrownie wiatrowe mają małe znaczenie dla gospodarki energetycznej, ale żal mi starych wiatraków, bo milsze są one dla oka i mniej szkodliwe dla zdrowia niż dymiące kominy elektrowni cieplnych.

Jacek Kamiński

Elektrownia wodna w Sulejowie

Bogactwo nocy (2)

JESZCZE O PAWICACH

Pawice (Attacidae) należą do najpiękniejszych motyli nocnych. W Europie występują tylko nieliczne gatunki pawic, większość ich żyje w ciepłych krajach.

(1)

Gąsienice ich, często jaskrawo ubarwione, mają niekiedy na swoim ciele wyrostki w kształcie korali. Prawie wszystkie żerują na drzewach i krzewach liściastych. Zimują w postaci poczwarek lub jaj, bardzo rzadko jako małe gąsieniczki wykluwające się w jajach. Niektóre gąsienice przędą jedwabne niteczki, używane do produkcji jedwabiu. Motyle prawie nie pobierają pokarmu. Żyją kilka dni.

1. Attacus atlas, rozpiętość skrzydeł w pozycji siedzącej do 30 cm, należy do największych motyli świata (Podnóża Himalajów, Azja)

2. Rotschildia morana — 12 cm (Ameryka Środkowa)

3. Eupackardia calleta — nieco mniejszy od R. morana (Ameryka Środkowa)

4. Rotschildia arethusa — 12 cm (Ameryka Południowa)

5. Graellsia isabellae — około 9 cm (Rejon Morza Śródziemnego)

6. Samia cecropia — około 13 cm (Stany Zjednoczone Ameryki Północnej)

Tekst i ilustracje Jerzy Heintze

UZUPEŁNIANKA

Odgadnij znaczenie tych 15 zaszyfrowanych wyrazów. Wpisz je do trzech prostokątów, w których dla ułatwienia powtarzają się dwie litery. Litery z kwadracików, oznaczonych liczbami od 1 do 19, przenieś w odpowiednie miejsca na dwóch paskach, a otrzymasz nazwy 12 zwierząt.

Znaczenie wyrazów: 1 — scyzoryk chirurga, 2 — część zamka w drzwiach, 3 — obszerne miejsce w lesie, na którym nie rosną wysokie drzewa, 4 — część mikroskopu, która jest najbliżej oka patrzącego, 5 — drzewo liściaste, 6 — siostra twojej mamy, 7 — szalony taniec francuski, 8 — kobyłka starowina, 9 — tajemnicze bogactwa, 10 — solona ikra jesiotra, 11 — imię męskie, 12 — mały mebel na czterech nogach, 13 — wdzierające się w głąb lądu morze, 14 — biały, duży papier lub pudełko tekturowe, 15 — inaczej zamożnie.

1	l	a	4		3	
2		l	a			8
3	9		l	a		
4			11	l	a	12
5					l	a

Zagadka 1

W środku perłowa,
głos morza chowa.
Przyłóż do ucha,
morza posłuchaj.

6	2			4	k	a
7				k	a	
8	14		k	a		
9		k	a		15	17
10	k	a	18	13		

11	t	o	6			16
12		t	o	19		5
13			t	o		
14				t	o	
15		10	7		t	o

19	13	14			19	3	18		9	13	3	14		9	17	4	10	1		4	17	7	12	17	14		2	16	8	9	19	8
5	10	4			6	10	12	14		4	11	12		5	10	15	12	8		14	16	8	5	8	19		4	8	12	9	8	1

Zagadka 2

Nie listek, nie kwiatek,
rośliny zadatek.
Ma go każde nasienie.
Najpierw on wrasta w ziemię.

Zagadka 3

Rogowa skorupa,
różne wzory na niej.
Jak na grzbiet upadnie,
zaraz nie powstanie.

W. S.

Zagadka 4

Bywa chudy, bywa tłusty,
nie dają go do kapusty.
Biały dobry na pierogi.
Żółty smaczny, ale drogi.

NASZ ZWIERZYNIEC

JASKÓŁKA

Znamy trzy gatunki jaskółek: dymówkę, oknówkę i brzegówkę. Największa z nich, dymówka, ma grzbiet czarny z granatowym połyskiem, ciemnobrązowe gardło, ciemnoniebieską przepaskę na piersi i ogonek w kształcie długich widełek. Grzbiet oknówki jest też ciemnoniebieski, skrzydełka mają ciemnobrązowy odcień, podbrzusze zaś jest białe, a ogonek kończy się krótszymi widełkami. Brzegówka, najmniejsza z jaskółek, jest brązowoszara, bez granatowego połysku, od spodu ma ciało pokryte białawymi piórkami. Ogonek jej ledwo, ledwo przypomina widełki.

Już w bardzo dawnych czasach jaskółki gnieździły się w grotach i jaskiniach, zawsze blisko ludzi. To chroniło ich pisklęta przed drapieżnikami — rysiem, żbikiem, kuną, sową, sroką, kawką. Również i dzisiaj dymówki i oknówki trzymają się siedzib ludzkich.

Oknówki przylepiają swe gniazdka wykonane z błota przy oknach na zewnątrz budynków, pod okapami i strzechami, obok wystających belek i gzymsów.

Dymówki lepią podobne gniazda wewnątrz obór i stajni, w stodołach, w szopach — blisko zwierząt gospodarskich, gdzie zawsze pełno much. Wiedzą o tym ludzie na wsi i nie zamykają latem okienek w pomieszczeniach dla zwierząt.

Brzegówki wygrzebują w stromych ścianach brzegów rzek i wyrobisk żwirowych długie, na rękę, korytarze, zakończone rozszerzonymi komorami, w których wychowują swoje pisklęta. Dla nich gonią za muchami i komarami nad samą taflą wody. Dużo jaskółek lata nad pastwiskami, między pasącymi się krowami. Łapią tam tysiące uprzykrzonych much, kreśląc w locie różne esy floresy.

Jaskółki lubią pogwarki i ploteczki. Uczepione pod okapem ćwierkają zawzięcie. Jeżeli się dobrze przysłuchać, to można nawet zrozumieć treść tego szczebiotania: „Uszyłabym ci rękawiczki, uszyłabym ci rękawiczki, ale nie mam nici". Jest wielu ludzi, którzy rozumieją głosy ptaków i ich potrzeby. Takimi byli nasi sławni profesorowie: Rydzewski i Jan Sokołowski, znani także za granicą.

Franciszek Kobryńczuk

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
Tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY:

kwartalnie — 150 zł,
półrocznie — 300 zł,
rocznie — 600 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:

Elżbieta Brzoza, Zdzisław Byczek (redaktor graficzny), Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Maria Czernik, Alicja Olszewska (sekretarz redakcji), Stefan Rutkowski (fotoreporter), Teresa Wilk-Białożej

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:
— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny;
— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty w 1986 r.

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca, Kraków, ul. Wadowicka 8. Papier rotac. 70 g, rola 75 cm, kl. V, I rotogr. 125 g, 86×122 cm, kl. V.
Zam. 2273 87 D-23
Nakład 430.370 egz.
ISSN 0137-8511

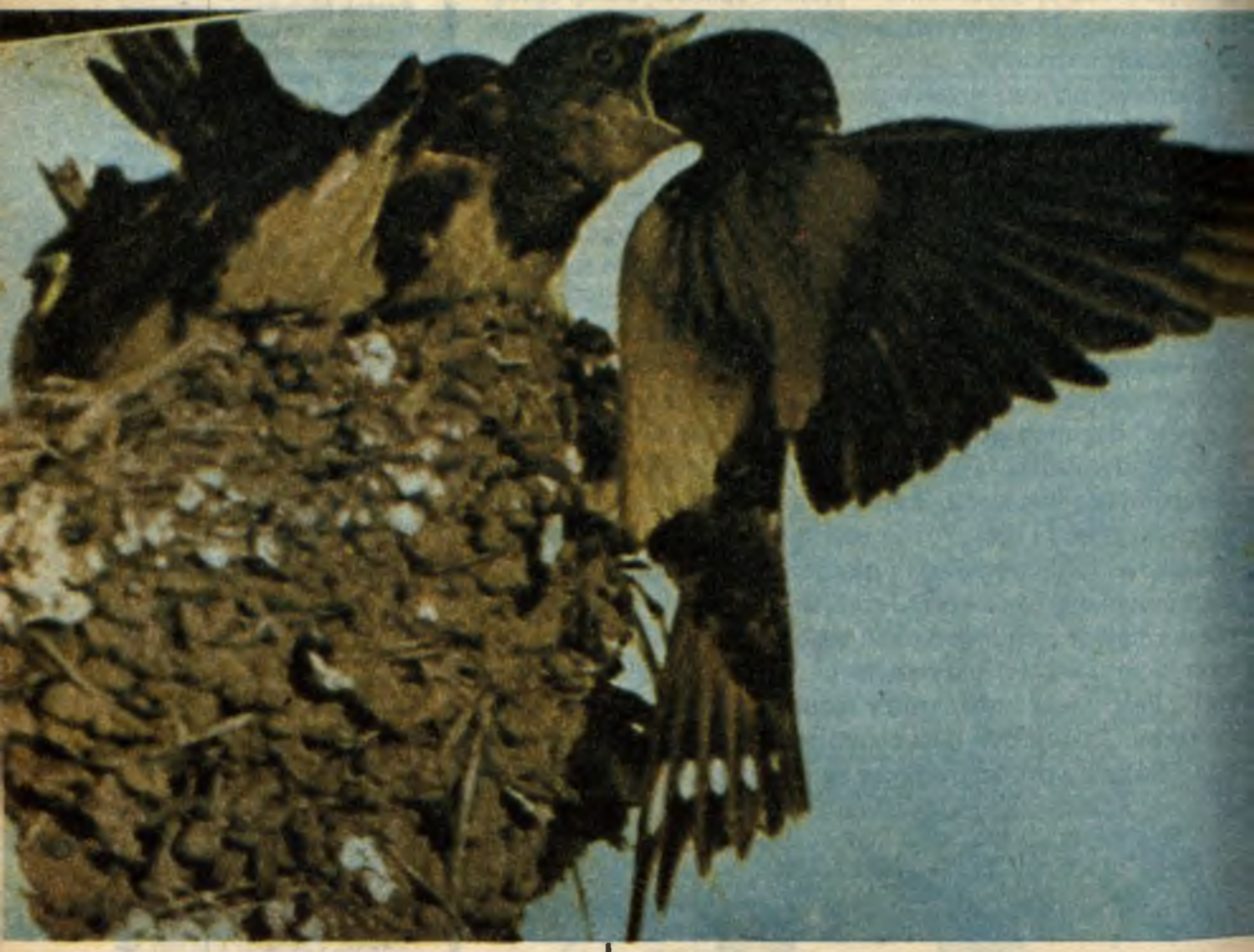

NASZ ZWIERZYNIEC

Tekst na str. 31

JASKÓŁKA

Fot. Bonifacy Gałka

CENA 25 ZŁ